

Nadzieja na lek

W Polsce około 30 proc. chorych nie realizuje recept, ponieważ nie stać ich na wykup leków.

Katarzyna Śliwa

„Nie zabierajcie nam leków, pozwólcie żyć!” „Czy czeka nas eutanazja?” – takie dramatyczne wpisy umieścili pacjenci w proteście przeciwko nowym przepisom, które zagrażają funkcjonowaniu aptek z lekami-darami, prowadzonych przez Stowarzyszenie „Lekarze Nadziei”, mające siedzibę w Krakowie.

W ciągu dwóch miesięcy pod krakowskim protestem podpisało się kilkaset osób.

– To ludzie, których nie stać na kupowanie leków w aptekach komercyjnych. Nasza apteka darów nie jest żadną konkurencją dla aptek komercyjnych, ponieważ ludzie, stojący w długich kolejkach, niekiedy na deszczu i mrozie, wycieczkując na otwarcie naszej placówki, aby otrzymać darmowy lek, i tak nie pójda do miejskich aptek, bo po prostu nie mają pieniędzy – mówi prof. Zbigniew Chłap, przewodniczący i założyciel Stowarzyszenia „Lekarze Nadziei”, prezentujący pliki zapisanych gęsto rubryk petycji.

Od stanu wojennego

W stanie wojennym aptek darów w całym kraju było kilkadziesiąt. Obecnie funkcjonuje ich niewiele. Choć nie idzie to w parze ze spadkiem zainteresowania. Prowadzona przez Stowarzyszenie, najbardziej znana w Krakowie Apteka Darów-Leków na os. Dywizjonu 303, do niedawna rocznie realizowała ponad 20 tys. recept. Obecnie o 70 proc. mniej. W długiej kolejce po bezpłatne leki ustawią się bezrobotni, emeryci, renciści, ludzie żyjący w wielkiej biedzie. Tej w Polsce po '89 roku, niestety nie brakuje. Zabraknąć za to może wkrótce leków z darów.

Powód? Zmiany w przepisach. Tych krajowych i zagranicznych. Od dawna nie przychodzą transporty z Niemiec. Ustały transporty z Ameryki. Od nowego roku nie przychodzą leki z Francji, gdzie z dniem 1 stycznia 2009 roku weszło w życie rozporządzenie tamte-

szego ministerstwa zdrowia zmieniające system pozyskiwania i dystrybucji niewykorzystanych leków.

– To rozporządzenie w praktyce kończy funkcjonowanie dotychczasowego francuskiego systemu „recyklingu” leków. Dotychczas, te pochodzące z laboratoriów, hurtowni i aptek, po pozytywnej ocenie komisji farmaceutycznej, były wysyłane do krajów potrzebujących pomocy. Teraz to niemożliwe. Kawalerowie Maltańscy, od których otrzymywaliśmy od ponad 26 lat transporty leków, właśnie zlikwidowali swoje magazyny w Wersalu, paląc tysiące ton nadających się do użycia lekarstw – relacjonuje profesor Chłap.

Nowe prawo

Do tego doszły polskie, powstałe w oparciu o zalecenia UE i WHO, restrykcyjne rozporządzenia Ministerstwa Zdrowia dotyczące sprowadzania leków ze zbiórki i ich redystrybucji. To wszystko grozi aptekom darów likwidacją. Co w ich miejsce? Wiadomo, że ich klientela, to ludzie, którzy nie są w stanie wykupywać w polskich aptekach niezwykle drogich, droższych niż w krajach UE, leków.

– Polskie stowarzyszenia i fundacje prowadzące ostatnie już apteki darów są bezradne wobec tych nowych przepisów. Wprowadzono je, argumentując, że leki mogą być źle przechowywane, mieć w efekcie zmienione działanie na skutek procesów chemicznych zachodzących pod wpływem temperatury lub światła. Ja mogę tylko powiedzieć, że przez 20 lat prowadzenia aptek darów nikt się nie zatrul, nie było żadnych reklamacji. Leki przechowywujemy w bardzo dobrych, odpowiednich warunkach. Każdy lek, który otrzymujemy, jest wiele razy oglądany przez nasz zespół farmaceutów. Moim zdaniem sytuacja wymaga decyzji, której podstawą powinno być zrozumienie sytuacji społecznej. Leki muszą być dostępne dla tej części społeczeństwa, która z powodu biedy nie ma

szans zaspokojenia swoich potrzeb – podkreśla szef Stowarzyszenia Lekarzy Nadziei.

O skali tych potrzeb najlepiej wiedzą medycy na co dzień stykający się dramatami pacjentów.

– Wydaje się, że lek jest tani, bo kosztuje 1 zł dziennie. Ale czy jest taka choroba, którą można leczyć jednym lekiem? Najczęściej są to schorzenia powiązane ze sobą, wymagające stosowania kilku leków. A wtedy to już nie jest 1 zł dziennie, tylko 6–7 zł, a nawet więcej. W skali miesiąca, to kilkaset złotych – mówi lek. med. Robert Kleszcz, z przychodni rejonowej NZO „Ugorek” w Krakowie.

Sposób na przetrwanie

Co zatem robią pacjenci? Doktor Kleszcz przedstawia całą paletę ich zachowań. Nie zażywają leków. Rezygnują. Zażywają okresowo. Odstawiają je samodzielnie. Przerwywają leczenie. Wykupują tylko niektóre. Poszukują tanich aptek, tańszych zamienników tzw. leków generycznych produkowanych nie przez właściciela patentu, lecz kogoś innego i trochę inną metodą.

Najubożsi mogą liczyć na pomoc MOPS. Pomoc społeczna przyznaje zasiłki celowe na zakup leków i stara się dotrzeć z tą informacją do potencjalnych zainteresowanych. Taki zasiłek można uzyskać raz w miesiącu. Obowiązuje tu jednak restrykcyjne kryterium dochodowe: 351 zł na osobę w gospodarstwie wspólnym lub 477 zł netto w gospodarstwie jednoosobowym.

– Aby uzyskać taki zasiłek, trzeba zgłosić się do pracownika socjalnego. Ten rozreza sytuację bytową w wywiadzie środowiskowym w miejscu zamieszkania. Na tej podstawie wydawana jest decyzja o przyznaniu zasiłku – wyjaśnia Marta Chechelska, rzeczniczka MOPS w Krakowie.



for: T. Cury

Nawet jeśli komuś uda się spełnić te kryteria (wiele emerytur to przecież „aż” 600–700 zł!) to taka procedura łączy się z koniecznością pokonania pewnego progu psychologicznego. Toteż, mimo że o zasiłek celowy mogą starać się również osoby nieznacznie przekraczające kryterium dochodowe, nie wszyscy się na taki krok decydują.

Jak robią to inni

Na Zachodzie osoby ubezpieczone nie tylko korzystają z darmowej opieki lekarskiej, ale i leki są za darmo lub za symboliczną opłatą. Szczelny system praktycznie uniemożliwia nadużycia i niekontrolowany wyciek pieniędzy. Przypisanie do konkretnej polisy ubezpieczeniowej i roczne rozliczenie daje pacjentowi orientację, co dzieje się z jego pieniędzmi. Polscy pacjenci takiej orientacji nie mają, za to na nich, w praktyce, spada ciężar finansowy kosztów leków. Sprawa ma kilka aspektów. M.in. apteki narzucają marże. A przecież nie wszystkie leki są drogie w produkcji. Pokażne są tylko koszty opracowania nowego leku, ale producent stara się odbić je sobie w cenie innowacyjnego leku. I to zwykle mu się udaje. Do czasu, aż ukaże się medykament w wersji generycznej.

Jednocześnie ludzi kolą w oczy ekskluzywne budynki, samochody czy wysokie pensje w NFZ, odbiegające standardem od jakości usług oferowanych pacjentom.

Na tym nie kończą się paradoksy. Bo, przykładowo, pensjonariusz domu pomocy społecznej, alkoholik, który nigdy nie pracował

i nie posiada emerytury, ma zapewniony przez państwo byt, dach nad głową i opiekę lekarską. Z państwowej kasy opłacane są też potrzebne mu leki. Takiej komfortowej sytuacji nie ma człowiek, który przepracował 40 lat pobiera emeryturę ok. 700 zł, nie wystarczającą na zaspokojenie elementarnych potrzeb życiowych.

– Przy wysokich wskaźnikach wzrostu gospodarczego jesteśmy krajem ludzi ubogich. Do tego stopnia, że bieda części społeczeństwa zagraża zdrowiu, a nawet życiu – pointuje profesor.

W poszukiwaniu nadziei

„Brak apteki, to koniec życia biednych ludzi” – wpisała drżąca ręką jedna ze starszych osób korzystających z apteki leków-darów w Nowej Hucie.

– Należałoby stworzyć społeczny zespół, który zajmowałby się zbiórką leków pochodzących np. z końcówek produktów wytwarzanych przez zakłady farmaceutyczne. Wiem doskonale, że one niszczą setki kilogramów lekarstw, które nie są rozprowadzane do aptek. Podobnie postępują duże hurtownie. Niewielka grupa ludzi mogłaby zorganizować zbiórkę a następnie przekazywać te skontraktowane farmaceutycznie leki do aptek leków-darów. Byłaby to bardzo cenna, „inicjatywa krakowska” konkretnej pomocy ludziom – przedstawia swój pomysł na utrzymanie funkcjonowania aptek z darami przewodniczący Stowarzyszenia „Lekarze Nadziei”.

Oprócz pomocy charytatywnej, na pewno najbardziej potrzebne jest dziś systemowe rozwiązanie problemu dostępu do opieki zdrowotnej i leków ludziom płacącym latami na ten cel podatki tak, by państwo wywiązywało się wobec obywateli ze swojego elementarnego obowiązku, jakim jest ochrona ich zdrowia i życia. Na pewno też unijne i międzynarodowe prawne normy nie mogą być wprowadzane wybiórczo i chaotycznie, powodując w efekcie ludzkie dramaty.

2009 - ROK NIEPODLEGŁOŚCI I SOLIDARNOŚCI



Zbita szyba

– Prywatyzacja polskich przedsiębiorstw na początku transformacji przypominały zachowania panny na wydaniu, która przez 50 lat gospodarki nierynkowej nie miała narzeczonego. Więc skoro znalazł się kandydat, rzuca się na oślep w jego ramiona. W taki sposób nierzadko przeprowadzane były prywatyzacje, bez należytego rachunku następstw – ocenia profesor ELŻBIETA MĄCZYŃSKA, prezes Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego w rozmowie z Krzysztofem Świątkiem.

– Podczas obrad „okrągłego stołu” ustalono, że podstawą ustroju będzie społeczna gospodarka rynkowa oparta na partycypacji pracowniczej, a urynkowaniu gospodarki miały towarzyszyć osłony socjalne. Zwyciężyła jednak idea „big bangu” – „wielkiego uderzenia”, czyli szybkiego zdruzgotania przedsiębiorstw państwowych i błyskawicznej prywatyzacji. Czy transformacja musiała być tak brutalna?

– Z pewnością można to było zrobić inaczej, lepiej, ale też nie było od kogo się uczyć, bo byliśmy pionierami transformacji. Zawsze zastrzegam, że łatwo potem mówić, jak powinno być przedtem. Nie mieliśmy ściągawki do transformacji, wzorca przechodzenia od systemu socjalistycznego do gospodarki rynkowej. Można było zastanawiać się nad innymi modelami niż terapia szokowa, która obok niewątpliwych efektów przyniosła także duże straty społeczne. Doznał się jednak przełom zasadniczy – zaczął funkcjonować rynek i tego nikt pierwszym twórcom transformacji nie odbierze. Sukcesy transformacji są oczywiste i widoczne gołym okiem. Dokonujący się w gospodarce postęp jest nie do zakwestionowania.

Nie zmienia to jednak faktu, że koszty społeczne faktycznie

okazały się znacznie większe niż zapowiadał to Leszek Balcerowicz. Niektóre przedsiębiorstwa przestały istnieć, pracownicy tracili pracę, znacznie wzrosło bezrobocie. Za programem prywatyzacji nie poszły programy pomocy, wyrównywania szans i spójności społecznej. Dość symptomatyczne jest to, co niedawno stwierdził profesor Jeffrey Sachs: „Kiedy doradzałem w

inna. Transformacja to jednak neverending story i nie zgadzam się z tezą, że została zakończona. Wciąż nie zbudowano jeszcze wielu niezbędnych instytucji lub też nie funkcjonują one należycie. Widać to m.in. w sektorze nieruchomości, w którym brakuje elektronicznego systemu ksiąg wieczystych, bazy informacyjnej o nieruchomościach, systemu wieloletniego planowania prze-

Po badaniach PAN-owskich postulowaliśmy wszczęcie dużego prokuratorskiego śledztwa w sprawie NFI, ale nic takiego nie nastąpiło. Ekonomiści nie mogą wyręczać organów ścigania.

Boliwii, Polsce, Rosji, przekonywałem do jak najszybszych reform, ale nigdy nie opowiadałem się za tym, żeby ich efektem była gospodarka całkowicie rynkowa. Lewica krytykowała mnie za promowanie rynku, a prawica za to, że popierałem np. utrzymanie publicznej służby zdrowia. Leszek Balcerowicz był zawsze dużo bardziej wolnorynkowy niż ja”.

Grzegorz Kołodko w końcu 2007 roku wykazywał, że w Polsce produkt krajowy brutto mógłby być o 1/3 wyższy, gdyby polityka transformacji była

strzennego i długookresowego planowania strategicznego.

Paradoksalnie mówiliśmy, że odchodzimy od gospodarki planowanej i przechodzimy w nieplanową. Ale to jedno z gorszych określeń, bo gospodarka rynkowa wymaga starannego planowania. Oczywiście, nie takiego jak w socjalizmie, ale stanowiącego element systemu wczesnego ostrzegania przed zagrożeniami i dostosowywania się do wymogów przyszłości.

Model ustroju gospodarczego określono w art. 20 konstytucji. Stanowi on, że „spo-

2009 - ROK NIEPODLEGŁOŚCI I SOLIDARNOŚCI



► Iteczna gospodarka rynkowa oparta na wolności działalności gospodarczej, własności prywatnej oraz solidarności, dialogu i współpracy partnerów społecznych stanowi podstawę ustroju gospodarczego Polski". Model ten wskazywany jest także w traktacie europejskim jako model harmonizujący cele ekonomiczne i społeczne. Niestety, nader często pojęcie to pojmowane jest opacznie na wzór i podobieństwo socjalistycznej, redystrybucyjnej polityki socjalnej i definiowane błędnie, jako synonim interwencjonizmu państwowego. Model społecznej gospodarki rynkowej bazuje na koncepcji ordoliberalnej, a ordo oznacza przeciwieństwo chaosu. Obecny kryzys sprawia, że niektórzy wieszczą koniec liberalizmu, co też jest grubym nieporozumieniem. Liberalizm w klasycznej koncepcji Adama Smitha bazował na dwóch filarach: wolności i odpowiedzialności. Profesor Galar, oceniając czas kryzysu, trafnie stwierdził, że „wehikuł wolnego rynku wjechał w bagna, ale to nie wina wehikułu tylko pijanego kierowcy". To nie liberalny model gospodarki zawiodł – tylko neoliberalna doktryna. Pozostaje mieć nadzieję, że niechlubną spuściznę neoliberalizmu zastąpi era odpowiedzialności, co zresztą powinno też dotyczyć gospodarki globalnej. To istotne tym bardziej, że podłożem obecnego kryzysu globalnego jest tak naprawdę głównie brak odpowiedzialności głównych aktorów w polityce i gospodarce.

Liberalizm ma się tak do neoliberalizmu jak fundament do fundamentalizmu. Noblista z 2007 roku o polskich korzeniach Leon Hurwicz celnie ocenił, że „niewidzialna ręka rynku wymaga inteligentnego sterowania". Mimo socjalistycznej lekcji doktrynalizacji i oplakanych jej skutków, po '89 roku paradoksalnie popadliśmy w drugą skrajność – w

doktrynę neoliberalną i każdy, kto ośmielał się ją krytykować, był uważany za nieuka rodem z komuny.

– Jak wypadamy na tle innych krajów, które też nie mając wzorca, musiały tę drogę przejść?

– Z punktu widzenia ekonomicznego dobrze, z socjalnego – znacznie gorzej. Profesor Maria Jarosz ocenia polską transformację jako najbardziej niesprawiedliwą i sprzyjającą dużym rozpiętościom społecznym, ich narastaniu. Wielu ekonomistów przestrzega, że nadmierne nierówności mogą być tak samo szkodliwe dla gospodarki jak nadmierne dążenie do równości. Każda doktrynalizacja jest szkodliwa. Nawet w komunizmie można przecież dopatrzeć się dobrych rozwiązań. To przecież „za komuny" dużo staranniej dbano np. o zdrowie dzieci. W szkołach poddawano je regularnym, szczegółowym badaniom profilaktycznym i opiece medycznej. Tego już nie ma, a pediatrzy biją na alarm, bo stan zdrowia dzieci i młodzieży jest zatrważający. Sektor zdrowia to jedna z porażek transformacji. Brak profilaktyki, rezygnacja z objęcia szkół opieką medyczną (obecnie w większości szkół nie ma nawet pielęgniarek) sprawia, że polska młodzież jest najbardziej w całej Europie zagrożona chorobami w wieku dojrzłym i na starość. To oznacza ogromne koszty leczenia i zagraża dalszym pogłębianiem się niebilansowania potrzeb i możliwości sektora zdrowia. To zarazem ogromne marnotrawstwo potencjału ludzkiego i materialnego. Zapobiegać jest zawsze dużo taniej niż leczyć.

Inną porażką transformacji jest marnotrawienie pieniędzy z pomocy społecznej. Wystarczy popatrzeć na zaniedbane dzieci na niektórych wsiach, zwłaszcza popegeerowskich. Rodzice dostają zasiłki, ale nierzadko udają się do najbliższego sklepu, by je przepić. A dzieci jak były niedożywione,

chore tak są nadal. Pomoc społeczna powinna być adresowana inaczej, np. celem zorganizowania porządnego, na wysokim poziomie szkoły na wsi, która pozwoliłaby tym dzieciom odbić się od dna. Pomoc społeczną w Polsce prowadzi się bez rachunku perspektywicznego, czyli nie zastanawiając się nad tym, co nam to da w przyszłości. I czy pomoc społeczna przyniesie trwałe czy tylko doraźne efekty (znany syndrom: czy dać rybę czy

cycpacja formalna, a nie rzeczywisty udział. Im mniej człowiek wie, tym łatwiej nim manipulować. Po drugie, niektóre formy prywatyzacji przekreślały możliwość rzeczywistej partycypacji. Część pracowników dostawała akcje i przy pierwszej możliwej okazji pozbywała się ich. Nierzadko takie akcje ktoś inny przejmował za grosze, bo ludzie w strachu i niewiedzy ich się pozbywali.

– Czy przyjęcie doktryny neoliberalizmu nie było bez znaczenia?



wędkę). Błędy w systemie pomocy społecznej pogłębiają nierówności. Sukcesy transformacji najbardziej odczuwają ludzie bogaci, jej klęski – ludzie najbiedniejsi.

– Dlaczego udział pracowników zarówno we współwłasności firm w postaci akcjonariatu pracowniczego jak i w zyskach przedsiębiorstw jest wciąż tak niewielki, mimo że w krajach Europy Zachodniej powszechny?

– Po pierwsze, wynika to z niedostatku edukacji ekonomicznej. Aby partycypować trzeba mieć wiedzę ekonomiczną. Czasem była to party-

Wmawiano przecież, że przedsiębiorca ma prawo do maksymalizacji zysków, a pracownicy powinni się cieszyć, że ich zatrudnił i trudno, by żądali jeszcze udziału w zysku?

– Podzielam ten pogląd. I to także doprowadziło do dużych rozpiętości majątkowych.

– Rozpiętości najlepiej widać, patrząc na strukturę podatkową. Dlaczego nie udało się w Polsce przez 20 lat zbudować rzeczywistej klasy średniej i czy to dla państwa groźne?

– Najważniejszy dziś apel powinien wzywać do budo-

wania ustroju równowagi, który pozwoliłby na zmniejszenie tych dysproporcji. Spora część dzisiejszych bogaczy to ci, którzy na początku transformacji się uwłaszczyli. Wszyscy byliśmy właścicielami świadectw udziałowych. Potem poszły one w NFI, a te przyniosły totalną klęskę. Dramatycznym przykładem błędów przy prywatyzacji jest Huta Julia ze Szklarskiej Poręby. To była huta kryształu ręcznie szlifowanego, gdzie produkowano cuda, wyroby-

miona i gotowa jest zaakceptować każde warunki.

– Słowa Pani Profesor o starej pani jako swoją filozofię przedstawił minister Janusz Lewandowski, mówiąc, że „firma nie jest warta tyle, ile jest naprawdę warta, tylko tyle, ile kontrahent chce za nią zapłacić". Chyba jednak rolę sprzedającego, czyli państwa, było sprawdzenie czy ów kontrahent chce tylko przejąć grunty czy dalej prowadzić produkcję?

– Nawet nie sprawdzić, tylko dokładnie oszacować następstwa i stosownie do tego formułować warunki prawne. To jest też kwestia nieegzekwowania prawa – kolejna porażka naszej transformacji. Kontrahent kupował tanio, bo w kontrakcie zobowiązywał się do utrzymania określonej liczby zatrudnionych i produkcji, ale często tego nie dotrzymywał. Nowi właściciele kupowali tanio, bo mieli spełnić jakieś warunki. Ale zdarzały się i kontrakty bezwarunkowe, np. na przejście dworów czy zamków. Teraz się okazuje, że nowi właściciele nie restaurowali tych obiektów. Chodziło im przede wszystkim o to, by mogli sprzedać ziemię po cenie rynkowej, podczas gdy całość nabyli za symboliczną złotówkę.

– Na czym miały polegać ustroj równowagi, o którym Pani wspominała?

– Powinien mieć trzy filary: ekonomiczny, ekologiczny i społeczny. Ustrój równowagi uwzględnia nie tylko krótką perspektywę, ale cele długofalowe. Ekonomisci chętnie posługują się metaforą „zbitej szyby", z której wynika, że nie ma szkody, która nie przechodziłaby przez naszą kieszeń. Jeśli piekarzowi chuligan wybije szybę, to straci na tym krawiec, bo piekarz pieniądze przeznaczone na uszycie garnituru, będzie musiał wydać na nową szybę. Ale świadomość tego jest ciągle niedostateczna.

– Jak ocenia Pani program powszechnej prywatyzacji? Kupowano właściwie całe sektory gospodarki: telekomunikacyjny, elektroenergetyczny, banki. Narodowe Fundusze Inwestycyjne, którym powierzony został w '95 roku

majątek wart według ówczesnych wycen około 6 mld zł, po 9–10 latach warte były o ponad połowę mniej.

– To nie znaczy, że ten majątek zniknął jak sen jaki złoty. Nic w przyrodzie nie ginie. Majątek to zawsze kwestia wyceny. Wg badań Instytutu Nauk Ekonomicznych PAN najgorszą, najbardziej marnotrawną formą prywatyzacji okazały się NFI. Odbływały się tam dziwne przetarasowania wśród menedżerów. To były sprawy nierzadko wymagające interwencji prokuratora. Często w NFI dochodziło do prywatnych uwłaszczeń, tzn. na bazie majątku NFI powstawały inne spółki. Zatem ten majątek gdzieś tam jest. Po badaniach PAN-owskich postulowaliśmy wszczęcie dużego prokuratorskiego śledztwa w sprawie NFI, ale nic takiego nie nastąpiło. Ekonomisci nie mogą wyręczać organów ścigania.

– Na ile kwestie NFI czy prywatyzacji banków były podkowane przez międzynarodową finansjere? Noblista Joseph Stiglitz mówił, że założenia „konsensusu waszyngtońskiego" propagowanego przez Międzynarodowy Fundusz Walutowy oraz Bank Światowy dawały wzrost gospodarczy w krajach naszej części Europy, zmiany przy prywatyzacji przyczyniały się do niszczenia miejsc pracy, a koszty reform ponosili ci, którzy byli do tego najmniej przygotowani.

– Zgadzam się z opinią Stiglitz. Ten, kto daje pieniądze, stawia warunki. Gorzej, że te warunki były oderwane od realiów konkretnej gospodarki. Obowiązywała sztampa waszyngtońska. Stiglitz pokazał jak wymuszanie tych warunków powodowało destrukcję w różnych gospodarkach.

– Dlaczego nie ma ośrodków badawczych, które planowałyby w perspektywie 20 lat?

– Polska jest jedynym krajem w Europie, który nie ma ośrodka myśli strategicznej. Złośliwi powiadają, że strategię długookresową w Polsce to planowanie na 3–4 dni. W podejmowaniu decyzji nie jest uwzględniana wieloletnia perspektywa, nie wiemy, jaki los zgotujemy naszym dzieciom i

wnukom. Funkcjonowało Rządowe Centrum Studiów Strategicznych, ale zostało zlikwidowane, podobnie jak Rada Strategii Społeczno-Gospodarczej przy Radzie Ministrów. Niemcy w każdym landzie mają taki ośrodek, a my nie wiemy, jak będzie wyglądał za 10 lat nasz system emerytalny czy zaopatrzenie w surowce.

Istnieje też problem długookresowych relacji między sektorem bankowym, finansowym i realny problem nadmiernej uzależnienia gospodarki od sektora finansowego. Prezes NBP Sławomir Skrzypek apelował w marcu 2008 roku na forum bankowym, by w większym stopniu banki zatrzymywały zyski na potrzeby rozwojowe, zamiast wypłacać ogromne dywidendy udziałowcom, bo może być kruch. Ale banki swoim udziałowcom, w większości zagranicznym, wypłaciły ogromne dywidendy, znacznie większe niż w latach minionych. Niewykluczone, że w tym roku będzie tak samo. Te same banki żądają pomocy ze strony państwa, czyli od podatników. Jaka jest gwarancja, że gdy NBP wykupi wcześniej obligacje od banków, te pieniądze zostaną skierowane na kredyty dla przedsiębiorstw? Takiej gwarancji nie ma. Pozostaje jedynie interwencja Komisji Nadzoru Finansowego.

– Co stanowi siłę polskiej gospodarki po tych 20 latach?

– Ludzie i ich kwalifikacje. Ale także usytuowanie geograficzne Polski, walory klimatyczne i naturalne. Nie wykorzystujemy wciąż należycie naszego potencjału turystycznego. Mamy usta pełne frazesów o gospodarce opartej na wiedzy, a edukacja od podstaw jest obecnie bardzo zaniedbaną dziedziną. Einstein powiedział, że dopóki choć jedno dziecko będzie głodowało i nie będzie wyedukowane, nie mamy prawa mówić o postępie. Gdyby z tego punktu patrzeć na transformację, to możemy mówić o klęsce. Nie ulega jednak wątpliwości, że sukcesy transformacji zdecydowanie przeważają nad niepowodzeniami.